

John L. Schellenberg

BOŻA UKRYTOŚĆ UZASADNIA ATEIZM*

W rozważaniach nad argumentami za istnieniem Boga i przeciwko niemu pomija się często argumenty z Bożej ukrytości. (Przez „Boga” rozumiem tu Boga *tradycyjnego*: osobną, choć nieskończoną świadomość, osobowego i doskonałego stwórcy wszechświata). To przeoczenie jest szczególnie interesujące, gdy ktoś, nie będąc w stanie rozstrzygnąć problemu istnienia Boga, skłania się ku agnostycyzmowi, a nie zauważa, że już *samo to niepowodzenie* ma znaczenie dla jego poszukiwań i może wspierać ateizm. Oczywiście należy tu zachować ostrożność. Jeśli przez zdanie „Bóg jest ukryty” rozumieć „Istnieje realnie Bóg, który pozostaje ukryty przed nami”, to łatwo będzie dowieść, że Boża ukrytość nie uzasadnia ateizmu. Jak bowiem przesłanka stwierdzająca *realne istnienie* Boga miałaby prowadzić do wniosku, że Bóg *nie istnieje*? Baczny czytelnik zauważy jednak, że język ukrytości można również potraktować mniej dosłownie – po prostu jako mówiący o braku przekonującego materiału dowodowego na rzecz istnienia Boga czy, mówiąc dokładniej, o braku pozytywnego wyniku poszukiwań w postaci doświadczenia Boga. W taki właśnie sposób będzie tu rozumiany język ukrytości. Zaczynam od argumentu z analogii, koncentrując się na tej drugiej, bardziej specyficznej formie ukrytości. Następnie omawiam możliwość rozszerzenia i wzmocnienia tego argumentu przez dokładniejszą analizę pojęcia Bożej miłości. Pierwszy argument nazwę argumentem z analogii, a drugi, powiązany z nim argument – pojęciowym.

* *Divine Hiddenness Justifies Atheism*, w: M.L. Peterson i R.J. VanArragon (red.), *Contemporary Debates in Philosophy of Religion*, Oxford: Blackwell 2004, s. 30–41. Przekład za zgodą Autora.

1. ARGUMENT Z ANALOGII

Wyobraź sobie, że znajdujesz się w następującej sytuacji. Jesteś dzieckiem bawiącym się z matką w chowanym w lasku za domem. Przycupnąłeś jakiś czas temu za rozłożystym dębem, w dość dobrej, choć nie idealnej kryjówce – z pewnością możliwej do odkrycia przez kogoś tak zaradnego jak twoja matka. A jednak matka się nie zjawia. Słońce zachodzi i zbliża się pora snu, a jej nadal nie ma. Nie tylko cię nie znalazła, ale, co jeszcze dziwniejsze, nigdzie nawet jej nie *słuchać*; nie przetrząsa pobliskich krzaków, wołając teatralnym głosem „szukam cię” i jednocześnie mówiąc do ciebie, jak to zwykle czynią matki bawiące się z dziećmi w chowanym. Wyobraź sobie, że sam zaczynasz ją *wołać*. Wychodząc zza drzewa, w kółko krzyczysz: „Maaaamo!”. Żadnej odpowiedzi. Wszędzie jej szukasz: w lasku, w domu, na drodze. Po godzinie zaczynasz chrypnąć od krzyku. Czy matka gdzieś tu jest? Czy nie odpowiedziałaby, gdyby była?

Zmieńmy nieco tę opowieść. Jesteś dzieckiem z amnezją. Twoja pamięć sięga zaledwie kilka dni wstecz – zdaje się, że w wyniku urazu głowy (którego naturalnie nie pamiętasz) – i nawet nie wiesz, czy *masz* matkę. Widzisz inne dzieci z matkami i myślisz sobie, że miło byłoby mieć własną. Toteż pytasz o nią każdą napotkaną osobę i szukasz jej w każdym dostępnym ci miejscu, ale bez powodzenia. Każdego dnia zaczynasz na nowo, oddając się poszukiwaniom, mimo że nieznajomi, którzy cię przygarnęli, zapewniają, że twoja matka zmarła. Bezskutecznie. Czy właśnie tego należałoby oczekiwać, gdybyś rzeczywiście miał matkę i gdyby znajdowała się ona w pobliżu, wiedząc o podejmowanych przez ciebie poszukiwaniach? Czy gdybyś głośno wezwał ją w środку nocy – „Maaaamo!” – a ona byłaby w zasięgu słuchu, to rzeczywiście by nie odpowiedziała?

Zmodyfikujmy tę historię po raz drugi. Nadal jesteś małym dzieckiem z amnezją, ale tym razem znajdujesz się w środку wielkiego lasu tropikalnego, rojącego się od niebezpieczeństw. Tkwisz tam już od wielu dni, próbując ustalić, kim jesteś i skąd się tam wzięłeś. Nie pamiętasz, czy matka towarzyszyła ci w wyprawie do tej dżungli, ale i tak wzywasz ją w chwilach największego bólu i nieszczęścia: „MAAAMO!”. Raz za razem. Dzień za dniem... Ostatnio wyłonił się przed tobą jaguar... Bez odpowiedzi. Co pomyślałbyś w tej sytuacji? Co przysłoby ci do głowy w chwili śmierci? Czy byłaby to myśl, że masz matkę, która troszczy się o ciebie, słyszy twoje wołanie i *mogłaby* do ciebie przyjść, ale postanawia tego nie robić?

Być może w każdej z tych sytuacji mógłbyś przyjąć, że *masz* matkę i że *znajduje się* ona w pobliżu, ale po prostu *nie* dba o ciebie. Skłonni jesteśmy

myśleć o matkach jako, niemal z definicji, kochających i troskliwych, ale – mógłby ktoś powiedzieć – wystarczy pomyśleć o matce Hyde’a z serialu *Różowe lata siedemdziesiąte*, która porzuciła swojego syna. Kolejna możliwość jest taka, że twoją matkę zatrzymały czynniki niezależne od jej pragnień i woli: być może wpadła do głębokiej studni w lasu albo porwał ją zbiegły więzień, którego widziano nieopodal w zeszłym tygodniu (a któremu ty cudem się wymknąłeś, doznając jedynie urazu głowy, który spowodował utratę pamięci), albo zмага się z krokodylem, gdy ciebie pożera jaguar. *Nie możemy* jednak powiedzieć, że w takiej sytuacji *kochająca* matka pozostałaby ukryta przed swoim dzieckiem, *gdyby nie musiała tak postąpić*.

Pierwszy krok argumentu z analogii polega na obronie tego twierdzenia. Jak moglibyśmy powiedzieć, naszym celem jest znalezienie odpowiedniego uzupełnienia następującego zdania: „Kochająca matka nie pozostałaby ukryta przed swoim dzieckiem, gdyby nie musiała tak postąpić, *ponieważ*”. Musimy podać takie sądy określające cechy miłości, *na mocy których* twierdzenie przed „ponieważ” jest prawdziwe. Sugeruję, że należą do nich następujące sądy: (1) Kochająca matka nie zlekceważyłaby żadnej poważnej próby swego dziecka, aby ją odnaleźć, i starałaby się jak najszybciej na nią odpowiedzieć. (2) Kochająca matka chciałaby oszczędzić swemu dziecku niepotrzebnej traumy czy, mówiąc bardziej pozytywnie, chciałaby wspierać jego fizyczny i emocjonalny rozwój. (3) Kochająca matka starałaby się zapobiec fałszywym czy nietrafnym myślom swego dziecka na jej temat oraz na temat ich wzajemnej relacji. (4) Kochająca matka chciałaby, tak często, jak to możliwe, mieć bezpośredni kontakt ze swoim dzieckiem, zarówno ze względu na radość, jaką sama z niego czerpie, jak i dla dobra dziecka. (5) Kochająca matka *tęskniłaby* za swoim dzieckiem w chwilach rozłąki. Nie ulega wątpliwości, że każdy z tych sądów jest prawdziwy. Jest również jasne, że *jeżeli* te sądy są prawdziwe, to prawdziwe jest również wysunięte przez nas twierdzenie – mianowicie, że żadna kochająca matka nie pozostałaby bez powodu ukryta przed swoim dzieckiem w opisanej sytuacji. Możemy stąd wyciągnąć wniosek, że bronione przez nas twierdzenie *jest* prawdziwe.

Następny krok argumentu z analogii polega na wskazaniu, że w świecie rzeczywistym pewne cechy *Bożego* ukrycia bardzo przypominają cechy opisanej przez nas fikcyjnej sytuacji matki i jej syna. Istotnym elementem naszych opowieści jest to, że dziecko poszukuje matki, ale jej nie znajduje. Podobnie, Bóg jest (i często był) ukryty przed wieloma ludźmi: szukano go, ale nie znajdowano. Niektóre osoby są początkowo przeświadczone o mocy i obecności Boga w ich życiu, by następnie przeświadczenie to *utracić* – zazwyczaj w wyniku rozumowania, które wywołuje w nich wąt-

pliwość dotyczącą uzasadnienia przekonania teistycznego. Pełne żalu, próbują odzyskać to, co w ten sposób utraciły, ale bez powodzenia, mimo że szukają Boga zarówno we wszystkich starych, dobrze im znanych miejscach, jak i w nowych, nieznanach. Bóg wydaje się nieobecny, a wiara – bezpowrotnie stracona. Sytuacja takich jednostek w istotny sposób przypomina sytuację dziecka z pierwszej historii. Inne osoby nie zaczynają od tego, co uważają za relację z Bogiem, jednakże poszukując i próbując ustalić miejsce swojej przynależności, pozostają otwarte na możliwość znalezienia lub bycia odnalezionym przez Bożego rodzica; niektóre z nich wytrwale i pilnie szukają Boga, pragnąc wejść z nim w relację miłości. Szukają, ale nie znajdują. Ich sytuacja jest istotnie podobna do sytuacji drugiego dziecka. Wielu poszukujących, ze względu na to, jak wrogim miejscem bywa niekiedy świat, wpada w tym lub innym momencie w *tarapaty*, tak że oprócz zwykłych i oczywistych powodów do szukania jedności (czy ponownego połączenia) z Bogiem potrzebują Bożej pomocy i zwracają się do niego w sytuacji ogromnego cierpienia i bólu. A jednak ich wołanie pozostaje bez odpowiedzi. Mamy tu do czynienia z czymś, co wyraźnie przypomina pod istotnymi względami sytuację trzeciego dziecka.

Można sobie wyobrazić jeszcze inne opowieści o formach Bożego ukrycia równie kłopotliwe w kontekście matczynej troski. Nasze pierwsze dziecko może, po wielokrotnym wzywaniu swojej matki, usłyszeć dochodzące z lasu odgłosy, które wydają jej się pewnym znakiem obecności matki, ale okazują się szumem liści na wietrze. Przypomina to doświadczenie tych, którym wydaje się, że odkryli ślady Boga w jakimś zdarzeniu czy argumentie, ale teologiczne znaczenie tego zdarzenia zostaje następnie podważone przez przekonującą reinterpretację, zaś argument okazuje się wadliwy. Nasze drugie dziecko mogłoby zostać zaadoptowane przez nieznaną osobę, którzy wykształcili w nim skłonność do nieufności zamiast zaufania oraz wykalkulowanego egoizmu zamiast wspaniałomyślności i hojności; bądź też ma ono doświadczenia, które sprawiają, że neguje znaczenie, jakie w rozwoju dziecka ma osobowa relacja z rodzicami. Można to porównać do tego, co zdarza się w życiu osoby poszukującej, która pod wpływem osób *odpowiadających* na jej wołanie, wyrabia sobie charakter niezgodny z tym, czego, jak się powiada, pragnie dla nas Bóg tradycyjnego teizmu, lub której poszukiwanie prowadzi wprawdzie do doświadczeń religijnych, ale o charakterze *nieteistycznym*. Nie ulega wątpliwości, że analogie między naszymi fikcyjnymi sytuacjami rodzicielskiego ukrycia a aktualnym faktem Bożego ukrycia są bardzo ścisłe.

Jak można wykorzystać te analogie? Kolejny krok argumentu z analogii polega na wykazaniu, że to, co zostało powiedziane na temat miło-

ści matki, stosuje się również do Boga. Zadanie nie jest trudne, ponieważ Bóg, zgodnie z kwestionowanym tu tradycyjnym poglądem teistycznym, jest nie tylko kochający i troskliwy, ale *niezrównanie* kochający i troskliwy. W istocie wydaje się, że każdy z powyższych sądów (1)–(5) musi stanowić charakterystykę nie tylko matki, ale również Boga. Jeśli Bóg stworzył ludzi i pozostaje do nich w relacji niezwyklej bliskości, troski i miłości, to z pewnością: (1') Bóg nie zlekceważyłby żadnej poważnej prośby ludzkich dzieci i starałby się szybko na nią odpowiedzieć. (2') Bóg pragnąłby oszczędzić ludziom niepotrzebnej traumy czy, mówiąc bardziej pozytywnie, pragnąłby wspierać ich fizyczny i emocjonalny rozwój. (3') Bóg starałby się zapobiec fałszywym czy nietrafnym myślom o nim samym lub o relacji Bóg – człowiek. (4') Bóg pragnąłby, tak często, jak to możliwe, wchodzić w kontakt osobowy z ludźmi, zarówno ze względu na radość, jaka z niego płynie, jak i dla samego tego kontaktu. (5') Bóg *tęskniłby* za taką bezpośrednią komunikacją, gdyby jej zabrakło.

Ktoś powie może, że Bóg mógłby być całkowicie inny od nas, a zatem i od ludzkiej matki. Istnieją jednak pewne pojęciowe ograniczenia, które musimy tu respektować. Nie chodzi oczywiście o to, że pojęcie Boga powinno być pojęciem istoty fizycznej i matki biologicznej. Jednakże sytuacje międzyludzkiej komunikacji oraz rozważania na jej temat, w tym również na temat komunikacji między matką a dzieckiem, stanowią podstawowe konteksty, w których takie pojęcia jak „bliskość” i „miłość” są używane i nabierają znaczenia. Jak więc można by uzasadnić przypuszczenie, że bliskość, troska i miłość Boga nie przypominałyby tych cech u idealnej matki, choćby ujawnionych w sposób właściwy Bożej naturze (np. za pośrednictwem doświadczenia religijnego zamiast dotyku fizycznego)? Pytanie to ma charakter retoryczny. Nie ulega wątpliwości, że to, co powiedzieliśmy na temat miłości właściwej najlepszej z matek, musi się na swój sposób stosować również do Boga.

Łatwo wyciągnąć z tego ważny wniosek. Niech *P* będzie koniunkcją tych własności związanych z miłością, na które wskazuje pięć wymienionych sądów na temat matki i pięć sądów odnoszących się do Boga. Widzieliśmy wcześniej, że na mocy *P* kochająca matka nigdy nie ukrywałaby się bez potrzeby przed swoim dzieckiem w opisanej przez nas fikcyjnej sytuacji. Widzieliśmy również, że analogie między tą sytuacją a Bożą ukrytością są bardzo ściśle. Możemy z tego wywnioskować z dużym prawdopodobieństwem, że *Bóg nigdy by się nie ukrywał bez potrzeby w tej sytuacji: P* zapobiegłoby temu w wypadku Boga, tak samo jak w wypadku naszej fikcyjnej matki.

To tyle o właściwym argumencie z analogii. Od tego wniosku można w kilku wiarygodnych krokach dojść do ateizmu. Jak widzieliśmy w wypadku matki, mogą istnieć zewnętrzne czynniki, które powstrzymują ją przed odpowiedzią na wołanie dziecka mimo *P* – czynniki, które mogłyby spowodować, że pozostaje ona w ukryciu i *nie* może tego uniknąć. Jeśli jednak wszechmoc cokolwiek znaczy, to znaczy ona, że Boga *nigdy* nie mogłoby powstrzymać przed odpowiedzią na błaganie jego ludzkich dzieci. Brak podobieństwa w tym punkcie nie tylko nie osłabia argumentu, który wychodzi od analogii, ale pomaga nam go *domknąć*. Okazuje się, że możemy zasadnie pominąć drobne zastrzeżenie „który mógłby tego uniknąć” z naszego wcześniejszego wniosku i po prostu powiedzieć, że *Bóg nigdy by się nie ukrył w rozważanej sytuacji*. Inaczej mówiąc, argument z analogii, w połączeniu z tym, co wiemy na temat środków, jakimi dysponuje Bóg, pozwala nam, z mocnym uzasadnieniem, powiedzieć, że jeśli Bóg istnieje, to ta forma Bożej ukrytości jest wykluczona. A jednak ona *zachodzi*. Stąd mamy silną rację, aby sądzić, że Bóg *nie* istnieje.

2. CZY ARGUMENT Z ANALOGII JEST TRAFNY?

Zanim damy się ponieść emocjom – pozytywnym bądź negatywnym – związanym z tym argumentem, trzeba się zastanowić, czy nie można go obalić kontrargumentem. Myślę, że trudno zakwestionować twierdzenia dotyczące tego, jak kochająca matka zachowałaby się w opisanych fikcyjnych sytuacjach. Rzecz jasna większość zarzutów będzie dotyczyć ścisłości naszej analogii *między* tymi sytuacjami a Bożą ukrytością.

Zarzuty te mogą przybierać rozmaitą postać. Można na przykład argumentować, że osoby poszukujące Boga niezbyt przypominają *dzieci* – brak im bezbronności i niedojrzałości, które przypisujemy dzieciom, a które trzeba przypisać poszukującym Boga, jeśli argument ma mieć szansę powodzenia. Jednak zarzut ten zdaje się zakładać, że Boga poszukują tylko dorośli, a to wcale nie jest oczywiste: dzieci również mogą poszukiwać Boga (i faktycznie go poszukują), choć nie zawsze z powodzeniem. Co ważniejsze, z powodu zła, jakie nas spotyka, i oczywistej kruchości natury ludzkiej, nawet dorosłych nie można, ściśle biorąc, określić jako dojrzałych w sensie teologicznym. Tradycyjna teologia tak nas przedstawia (równocześnie odnosząc się do nas jako do Bożych dzieci), ale gdy przyglądamy się światu, odnosi się wrażenie, że trafniejsze byłoby

przedstawienie nas jako dorastających nastolatków, wciąż potrzebujących domu – w szczególności rodzicielskiego wsparcia i zachęty do rozwijania charakteru i samooceny, które pozwolą wytrzymać presję życia prowadzącą do załamania i rozpacz, a także umożliwią pełną realizację naszych możliwości.

Można również twierdzić, że o Bogu nie należy myśleć jako o matce – że gdy stosujemy ludzki język do tego, co boskie, powinny dominować elementy ludzkiego doświadczenia niezwiązane z macierzyństwem. To jasne, że koncepcja Boga jako Ojca była tradycyjnie bardziej wpływowa niż koncepcja Boga jako Matki, ale odwoływanie się do „potocznej praktyki” jest zawsze słabe, zwłaszcza gdy wchodzącą w grę praktykę skutecznie kwestionowano (lub przynajmniej można kwestionować). Zamiast jednak wdawać się w spory wokół feminizmu i patriarchy, zwróć tylko uwagę, że niezależnie od tego, czy użyje się etykiety „kochający Ojciec”, czy innej, takie atrybuty jak troska i bliskość, współczucie i empatia nie są negocjowalne w ramach żadnego stanowiska teistycznego, które poważnie traktuje moralną doskonałość i wartość oddawania czci Bogu. A o takie atrybuty tutaj chodzi. Uważam, że skupienie się na modelu matki jest pomocne, ponieważ atrybuty te nadal bardziej kojarzą nam się w doświadczeniu i wyobraźni z pojęciem matki niż z pojęciem ojca. W istocie, ponieważ *odległy* lub *nieobecny* ojciec jest w ludzkim doświadczeniu czymś zwyczajnym, związek między ojcostwem a rozważanymi atrybutami można potraktować dość luźno. Ów fakt, w połączeniu ze skłonnością do bezkrytycznego traktowania Boga jako Ojca, odpowiada, jak sądzę, w dużej mierze za to, że tak wiele osób nie docenia siły argumentów z Bożej ukrytości.

Trzeci – dość częsty – zarzut wobec naszego argumentu sugeruje, że *oczekiwanie* odpowiedzi od Boga jest wyrazem arogancji, ponieważ Bóg nie ma obowiązku odpowiadać na każdą naszą zachciankę; a jeśli już to czyni, to na swój własny sposób, niekoniecznie zgodny z naszymi oczekiwaniami. Nawet jeśli osoby poszukujące nie popełniają grzechu pychy, nadal powinniśmy liczyć się z możliwością, że istnieje jakiś *inny* grzech ludzki, który uniemożliwia im doświadczenie Boga. Być może Bóg jest przed nami ukryty z powodu *naszych własnych*, a nie Bożych, wad.

Jednakże argument z analogii, jak można zauważyć, nie sugeruje, że Bóg powinien spełnić każdą naszą *zachciankę*, każde nasze spontaniczne, nieprzemyślane, nierozsądne pragnienie; wskazuje jedynie, że Bóg odpowiedziałby na poważne próby (ponownego) wejścia z nim w miłosną relację. Zauważmy, że drugie twierdzenie jest znacznie bardziej prawdopodobne niż pierwsze. Zarzut ten jest skierowany przeciwko karykatu-

rze naszego argumentu, a nie przeciwko właściwemu argumentowi. Co do pychy, oczekiwanie osoby poszukującej nie przybiera postaci *żądania*, ale oczekiwania czy uzasadnionego wniosku. Czy naprawdę mamy sobie wyobrazić osoby poszukujące jako *żądające* zawsze i wszędzie, by Bóg „się ukazał”? Niektórzy *filozofowie* mogą się tego domagać, ale są to zwykle jednostki, które już dawno doszły do wniosku, że Bóg nie istnieje, i uważają, że tak jest lepiej; nie należy zaliczać ich do tej samej grupy, co najuczciwsze, pełne nadziei osoby poszukujące, opisane w naszym argumencie, czy też do grupy ludzi, którzy po dokładnym namyśle nad wszelkimi dostępnymi informacjami dochodzą do wniosku, że do natury Boga należy to, iż objawi się w jakiś sposób każdemu, kto szczerze go wzywa.

Przechodząc teraz do ogólnego odwołania się do grzechu: wydaje się to całkowicie bezzasadne – wiele osób poszukujących Boga wygląda dość niewinnie pod tym względem. Należy odnotować, że poza drobiazgowym i uważnym poszukiwaniem racji za wiarą w istnienie Boga oraz usunięciem wszystkich przeszkód napotkanych w trakcie tych poszukiwań, osoba poszukująca *nie może nic zrobić*, by uzyskać tę wiarę. Wiara jako taka jest niedobrowolna; jest to coś, co przydarza się osobie, gdy zgromadzi dość materiału dowodowego, a nie coś, do czego można dojść bezpośrednio (kto w to wątpi, niech spróbuje w tej chwili nabyć lub stracić wiarę w istnienie Boga). Wobec tego jeśli został podjęty tego rodzaju trud (jak to często ma miejsce), to osoby niewierzącej nie można „winić” za niewiarę.

A co z możliwością, również wspomnianą w zarzucie z „grzechu”, że Bóg *rzeczywiście* odpowiada, a osoby poszukujące po prostu przeocząją tę odpowiedź, oczekując czegoś innego niż to, co Bóg ma na myśli? Co innego jednak mógłby mieć na myśli Bóg? Jeśli prośba dotyczy rozpoczęcia lub wznowienia miłosnej relacji, a to wymaga między innymi pewnej dozy przekonania, że istnieje ktoś, do kogo można pozostawać w takiej relacji, to co *mogłoby* uchodzić za *miłosną odpowiedź*, jeśli nie jakiś widoczny znak Bożej obecności? Niewątpliwie w wypadku matki, która nie jest pozbawiona możliwości zareagowania na położenie dziecka, miłosną odpowiedź mogłoby stanowić wyłączenie przyjsie do niego, i to w sposób dla niego zauważalny. Dlaczego mielibyśmy sądzić, że coś innego wystarczyłoby w wypadku nieporównywalnie większej miłości Boga? Ktoś może stwierdzić, że Bóg, w odróżnieniu od matki, jest dla nas stale obecny, nawet jeśli tego nie zauważamy i, ponadto, jest odpowiedzialny za wszystko, czego doświadczamy. Tak jest w istocie, jeśli Bóg istnieje. Nie stanowi to jednak *odpowiedzi* na wołanie szukających Boga. Należy bowiem uznać, że braku jednej formy miłości nie kompensują inne jej

formy, a więc doskonała miłość nieograniczonego Boga nie kompensuje miłości istoty skończonej. Wygląda na to, że istotne różnice między Bogiem a nami *utrudniają*, zamiast ułatwiać sformułowanie zarzutu z „innej odpowiedzi”.

Niewykluczone jednak, że na różnice między nami a Bogiem możemy spojrzeć jeszcze inaczej. Być może dla osoby poszukującej istnieje pewne *wielkie dobro*, które zależy od kontynuowania przez nią jej poszukiwań i które powstrzymuje Boga od udzielenia odpowiedzi. Może w takich sytuacjach, jak te opisane przez nas, żadna kochająca matka ludzka nie mogłaby mieć racji dla uznania trwałej rozłąki z własnym dzieckiem za służącą „jego własnemu dobru”, natomiast Bóg, powie krytyk, jest świadom znacznie większej liczby dóbr niż my i ma plan, który rozciąga się na niewyobrażalne obszary czasu i przestrzeni. Nie możemy więc zasadnie dojść do wniosku, że Bóg postąpiłby tak jak matka, nawet jeśli dzieli z nią omówione przez nas cechy.

W odpowiedzi można wyliczyć i omówić różne znane nam możliwe dobra, ale autor zarzutu odpowie, że wchodzące w grę dobra mogą być nam *nieznane*. Na szczęście ten zarzut można uchylić. Po pierwsze, zauważmy, że jeśli ostateczną rzeczywistością duchową jest osobowy Bóg, to każdy poważny rozwój duchowy musi się rozpocząć od osobowej relacji z Bogiem. A jeśli Bóg jest nieskończenie głęboki i bogaty, to każda taka relacja musi być wielopoziomowa i stopniowa – w istocie jej rozwój byłby z pewnością potencjalnie nieskończony. Po trzecie, jeśli Bóg istnieje, to taka relacja z doskonałą i nieskończenie bogatą rzeczywistością osobową musiałaby być największym dobrem, jakiego może doświadczyć człowiek – z pewnością twierdzenie to jest wspólne wszystkim tradycjom teistycznym. Jak w takim razie można mówić o *innym* dobru, dla którego Bóg *poświęciłby* taką relację?

Być może ktoś odpowie, że Bóg poświęca tylko *pewien czasowy wycinek* tej relacji, a nie ją całą, i że to, co się w ten sposób zyskuje, może przyczynić się do *rozwoju przyszłej* relacji z Bogiem. Trudno jednak zrozumieć, jak ktoś poszukujący Boga, pragnący miłosnej relacji osobowej, mógłby być w takim stanie, że doświadczenie Boga czy materiał dowodowy jakiegogo innego rodzaju mogłyby zapobiec nawiązaniu tej relacji w dłuższej perspektywie, tak jak wymaga tego ta odpowiedź. W istocie takie jednostki byłyby, jak się wydaje, we *właściwym* położeniu pod tym względem – w położeniu uważanym za wysoce pożądane przez tradycje teistyczne. Ich stan z pewnością nie jest mniej odpowiedni dla relacji z Bogiem niż stan wielu osób, które zostałyby przez te tradycje uznane za cieszące się taką relacją już teraz.

Rozważmy również w związku z tym nieskończoną *pomyślność* Boga. Jeśli Bóg rzeczywiście ma ten atrybut i jest on ponadto niezrównanie głęboki i bogaty, to w każdym punkcie musi istnieć dosłownie *nieskończona liczba* sposobów na rozwój w relacji z Bogiem, którymi mogłaby się posłużyć istota wszechmocna i wszechwiedząca, mimo trudności w podtrzymywaniu tej relacji, jakie mogłyby się pojawić w jej trakcie. Odrzucając to, teista musi definitywnie odrzucić swoje przekonanie na temat wielkości Boga! Toteż nawet gdybyśmy *nie* mówili o osobach poszukujących, czyli jednostkach idealnie nadających się do tego, by skorzystać z obecności Boga, to *nadal* nie mielibyśmy racji, by podtrzymać rozważany teraz zarzut.

Możemy tu wspomnieć o jednej konkretnej formie, jaką mogłaby przyjąć Boża moc. Choć może się to wydać dziwne, istnieje pewna ważna forma „ukrytości” całkowicie spójna z sytuacją, w której Bóg objawia się każdej poszukującej osobie – a nawet jej *wymagająca*. Aby się o tym przekonać, przypuśćmy, że Bóg istnieje i że poszukująca osoba odkrywa rację, by uwierzyć w Boga, i odpowiada, wchodząc w osobową relację z Bogiem („rozmawiając” z Bogiem w modlitwie, odczuwając obecność Boga, przeżywając całe życie w kontekście komunii bosko-ludzkiej). Przypuśćmy również, że z czasem wpada w nieodpowiedni stan – powiedzmy, arogancji lub pychy. Co może zrobić Bóg? Otóż nadal pozostaje pewnego rodzaju możliwość Bożego wycofania się *bez* zrywania relacji. To, co mam tu na myśli, jest analogiczne do tego, co tradycyjnie nazywa się ciemną nocą duszy – do stanu, w którym osoba ma materiał dowodowy na rzecz istnienia Boga, ale w którym Bóg nie jest doświadczany jako bezpośrednio obecny, a nawet może być doświadczany jako nieobecny. Takie „wycofanie się” – przy zachowaniu warunków relacji – stanowiłoby poważny test wiary, a w szczególności obróciłoby się przeciwko wspomnianemu rodzajowi arogancji czy pychy. W istocie dzięki tej formie ukrycia można by, jak się wydaje, osiągnąć wiele, a może nawet wszystko, z tego, co, jak niekiedy twierdzą teiści, ma się osiągnąć dzięki *drugiemu* rodzajowi ukrytości! Dobrze ujmuje to teolog chrześcijański John Macquarrie:

Jak to się również dzieje w niektórych najgłębszych relacjach międzyludzkich, kochający ujawnia się na tyle, by wzbudzić miłość ukochanego, i skrywa się na tyle, by skłonić ukochanego do jeszcze głębszego poszukiwania tej miłości. W miłosnej przygodzie z Bogiem [...] pocieszenie na przemian ustępuje miejsca opuszczeniu i to w ten sposób skończona istota stale wychodzi poza siebie w stronę tego, co boskie¹.

¹ J. Macquarrie, *In Search of Deity*, London: SCM Press 1984, s. 198.

Jeśli dzięki temu rodzajowi ukrytości można osiągnąć oczekiwane dobra i jeśli owa ukrytość jest spójna z ujawnieniem się przez Boga osobie poszukującej, to na jakiej podstawie mielibyśmy obstawać przy tym, że Bóg wystawia osobę poszukującą na pastwę *wątpienia i niewiary* w celu osiągnięcia tych dóbr?

Należy jeszcze wspomnieć o ostatnim zarzucie, który znacznie odbiega od pozostałych. Jest to twierdzenie, że istnieją *inne racje na rzecz wiary* w Boga, które równoważą lub nawet przeważają rację *przeciwko* tej wierze – rację, jaką jest nasz argument z analogii. Jest on, co trzeba podkreślić, w szerokim sensie indukcyjny i prowadzi do wniosku, który jest bardzo prawdopodobny (tzn. jest bardziej prawdopodobny niż nieprawdopodobny). Dlatego zawsze należy się liczyć z możliwością, że prawdopodobieństwo, jakie przypisaliśmy wnioskowi na podstawie analogii, trzeba będzie zmodyfikować, gdy weźmie się w rachubę argumenty *za* istnieniem Boga. Na przykład osoba głęboko przekonana o poprawności prostego *dedukcyjnego* argumentu za istnieniem Boga (argumentu, z którego przesłanek *wynika* twierdzenie, że Bóg istnieje), dla której jedyną racją przemawiającą za ateizmem jest nasz argument z analogii, mogłaby zasadnie dojść do wniosku, że mimo ścisłości i mocy perswazyjnej tych analogii, *coś* musi być nie w porządku z naszym argumentem, a Bóg z pewnością istnieje, nawet jeśli trudno wskazać błąd w naszym rozumowaniu.

Ile osób uzna taką strategię za rację unieważniającą dla argumentu z analogii? Trudno powiedzieć: wszystko zależy od tego, jak oceni się ten niezależny materiał dowodowy i czy ocena ta będzie trafna. Nawet gdybyśmy mogli w tym miejscu wyczerpująco omówić ów dodatkowy materiał (a nie wchodzi to w grę), to naszą ocenę można zasadnie podważyć, ze względu na fakty związane z osobowością, doświadczeniem, czasem, inteligencją, okolicznościami itp., które w sposób niezawiniony skłaniają kogoś do przeciwnej oceny. Można jednak poczynić kilka uwag ogólnych, które nie są całkiem pozbawione znaczenia czy konsekwencji. Trzeba powiedzieć, że większość czytelników najprawdopodobniej *nie* dysponuje takimi dowodami na istnienie Boga, jak te wspomniane wcześniej – w istocie to, że takie dowody niełatwo znaleźć, jest właśnie jednym z powodów ułatwiających postawienie problemu Bożej ukrytości! Z pewnością każdy, kto uważa, że inny materiał dowodowy na rzecz istnienia Boga lub przeciwko niemu nie zmienia faktu, iż teizm i ateizm są jednakowo prawdopodobne, powinien uznać, że szala przechyliła się na korzyść ateizmu, gdy bierze się w rachubę ten *nowy* materiał dowodowy. Co ciekawe, nawet epistemiczna sytuacja osób, które przystąpiły do tej

dyskusji przekonane o prawdziwości teizmu, może ulec zmianie w wyniku namysłu nad tym argumentem, ponieważ może on *osłabić* pewność, z jaką uznają one inne argumenty czy doświadczenia za wspierające teizm, zwłaszcza w tych wypadkach, w których dodatkowy materiał dowodowy nie został wcześniej starannie przemyślany. Nie powinniśmy więc zakładać, że każdy, kto przystępuje do tych dyskusji z uzasadnionym przekonaniem teistycznym, wyjdzie z nich bez szwanku.

Na tym kończy się nasza analiza zarzutów wobec argumentu z analogii. Żaden z nich, nawet ten ostatni, nie pozbawia go jego wyjściowej mocy perswazyjnej. W istocie niektóre punkty naszej analizy tylko go wzmacniają. Czy wspomniana w jego przesłankach Boża ukrytość uzasadnia więc ateizm? Czy uzasadnia ona *twoją, czytelniku*, wiarę w ateizm? Otóż następujący sąd dotyczący koniecznych i wystarczających warunków wchodzącego w grę uzasadnienia wydaje się wiarygodny i zostałby przyjęty przez większość filozofów:

Jednostka *J* ma epistemiczne uzasadnienie przekonania, że *p*, w świetle materiału dowodowego *d* wtedy i tylko wtedy, gdy *J* (I) uznaje w pewnym stopniu, że *p* w świetle *d*, (II) rozważyła wszystkie dostępne racje epistemiczne za nieuznaniem *p* w świetle *d*, (III) nie uważa żadnej z tych racji za dobrą i (IV) w trakcie swoich dociekań spełniła wszystkie należne obowiązki epistemiczne.

Myśląc o sobie jako o *J*, o *p* jako o ateizmie, o *d* jako o omówionej przez nas formie Bożej ukrytości, o rozważonych wcześniej racjach unieważniających (w tym racji odwołującej się do niezależnego materiału dowodowego) oraz wszelkich innych znanych ci racjach unieważniających jako o racjach za uznaniem ateizmu z powodu Bożej ukrytości, i o wchodzących w grę obowiązkach epistemicznych jako obejmujących m.in. troskę, rozwagę, otwartość na prawdę, możesz, w świetle tego standardu, *sam* zdecydować, czy nasz argument uzasadnia twoje przekonanie, że Bóg nie istnieje.

3. ARGUMENT POJĘCIOWY

Argument z analogii nie jest jedyną formą argumentu z Bożej ukrytości. W istocie w mojej wcześniejszej pracy na ten temat wspominam o nim tylko mimochodem, w pierwszej kolejności wykorzystując inną

formę argumentacji². Początkowo chciałem tu przedstawić jedynie argument z analogii, pomijając ten drugi argument. Po namyśle doszedłem jednak do wniosku, że sformułowanie pierwszego z nich stanowi naturalną podstawę dla mocnej, choć skrótowej, prezentacji drugiego. Rozważ więc pokrótce dodatkowe kroki, jakich wymaga drugi argument.

Argument pojęciowy rozwija wątek, który pojawił się już wcześniej, mianowicie właściwe rozumienie pojęcia Bożej miłości. Badając to pojęcie i z konieczności wzorując jego rozumienie na tym, co najlepsze w ludzkiej miłości, dochodzimy do przyjęcia twierdzeń, z których wynika, że jeśli Bóg istnieje, to materiał dowodowy wystarczający do wzbudzenia wiary w Boga jest dostępny każdej osobie zdolnej do osobowej relacji z Bogiem i niepróbującej opierać się takiemu materiałowi. Jak łatwo zauważyć, argument ten nie tylko koncentruje się bardziej na pojęciu Bożej miłości (wykorzystując jednocześnie to, co wiemy o miłości ludzkiej, między innymi matczynej), ale jego przesłanki przemawiają do szerszego grona osób niewierzących. W tym nowym argumente pojęcie Bożej ukrytości zostaje niejako *rozciągnięte* na zdarzenia (lub brak określonych zdarzeń) w życiu osób, które, nie będąc zamknięte na tradycyjnego Boga, nie czują z tego czy innego powodu żadnej potrzeby jego poszukiwania. Jeśli potrzebna jest etykieta, to osoby należące do tej nowej i szerszej kategorii osób niewierzących możemy nazwać *niestawiającymi oporu*. Za osoby niestawiające oporu moglibyśmy uznać, poza osobami poszukującymi, także jednostki z kręgu kultury zachodniej, które zostały wychowane całkowicie po świecku. Z pewnością jest to ogromna rzesza osób, żyjących zarówno w odległych czasach, jak współcześnie, w tych częściach świata, gdzie sama *idea* takiego Boga jest obca ich myśleniu i wyobraźni.

Dlaczego mielibyśmy przyjąć, że brak wystarczającego materiału dowodowego do wzbudzenia wiary w Boga w życiu osób niestawiających oporu stanowi problem dla teizmu? Otóż dlatego, że namysł nad pojęciem Bożej miłości pokazuje, iż doskonale kochający Bóg z konieczności poszukiwałby osobowej relacji ze *wszystkimi* jednostkami należącymi do tej grupy i ponieważ odpowiedzią na takie poszukiwanie byłoby dostarczenie materiału dowodowego wystarczającego dla wiary w istnienie Boga. (Jak widać, akcent pada tu nie na poszukującego człowieka, ale na *Boga* jako osobę poszukującą).

² Zob. moją książkę *Divine Hiddenness and Human Reason*, Ithaca: Cornell University Press 1993. Zob. też mój tekst *Response to Howard-Snyder* (oraz tekst, na który stanowi on odpowiedź) w „Canadian Journal of Philosophy” 26(1996), nr 3, s. 455–462 oraz mój tekst w D. Howard-Snyder i P. Moser (red.), *Divine Hiddenness*, Cambridge: CUP 2001, s. 33–61.

W obronie pierwszego z tych twierdzeń możemy powiedzieć, że dążenie do osobowej relacji jest istotnym składnikiem miłości ludzkiej w jej najlepszym wydaniu. Najlepsza osoba kochająca zachęca ukochanego do czerpania z relacji z nim tego, co jest mu potrzebne do własnego rozwoju, ale również w naturalny sposób aspiruje do jakiegoś rodzaju bliskości między nią a ukochanym: bezpośrednio i spontanicznie wychodzi ku temu, kogo kocha, nie kierując się wyłącznie wcześniejszą kalkulacją zysków i strat dla obu stron. Coś podobnego musi dotyczyć miłości Boga do nas: nie ma wątpliwości, że otwarta relacja bosko-ludzka musi w znacznej mierze promować ludzki rozwój, a to znaczy, że Bóg dążyłby do niej z tego powodu; i oczywiście Bóg ceniłby również osobową relację z ludźmi – istotami stworzonymi na jego obraz – dla niej samej. Nie ma wątpliwości, że Bóg nie *zmusiłby* nikogo do takiej miłosnej relacji (taka idea jest logicznie sprzeczna i, tak czy inaczej, niezgodna z poszanowaniem wolności), ale jest pewne, że Bóg, który nie *stworzyłby możliwości* przynajmniej takiej relacji osobom *niestawiającym oporu*, nie kochałby w sposób doskonały.

Ta uwaga jest czasem rozumiana opacznie. Z różnych względów społecznych i religijnych przywykliśmy, jak się wydaje, do myślenia o miłości Boga w sposób ograniczony i ograniczający, wbrew temu, na co wskazywałyby wszystkie filozoficzne metody wyjaśniania Bożej natury. Dlaczego jednak przyjmować, że jeśli Bóg istnieje, to w pewnych chwilach będziemy pozbawieni osobowej relacji z nim? Choć doskonale dobry i kochający ojciec czy dobra i kochająca matka może czasem stanąć z boku, oddając dziecku inicjatywę, i nie zamęczać go ciągłym zwracaniem na nie uwagi, czy nawet wycofać się na pewien czas, aby dać coś do zrozumienia, są to momenty *w ramach* relacji z nim, które *wzbogacają* jej znaczenie. I choć tacy rodzice mogliby z głębokim smutkiem przyznać, że ich dziecko całkowicie zerwało łączącą ich relację i nie podejmuje kroków zmierzających do jej wznowienia, to *dopiero* opór ze strony dziecka sprawiłby, że ta relacja by ustała. Kto z kochających rodziców dobrowolnie by do tego doprowadził? Podobne uwagi stosują się do miłości w kontekście relacji przyjaźni i małżeństwa. Wydaje się więc, że nie sposób uniknąć tego wniosku: pewna forma osobowej relacji z Bogiem zawsze będzie dostępna osobom *niestawiającym oporu*, jeśli Bóg rzeczywiście kocha.

Możemy teraz przystąpić do obrony naszego drugiego twierdzenia – że aby taka relacja była dostępna, musiałby być również dostępny wystarczający materiał dowodowy wspierający wiarę w istnienie Boga. Kluczową sprawą jest to, że z logicznego punktu widzenia nie można usłyszeć głosu Boga, świadomie doświadczyć Bożego przebaczenia i wsparcia, być

wdzięcznym Bogu, doświadczyć miłosnej obecności Boga i odpowiedzieć na nią z miłością, posłuszeństwem i czcią czy uczestniczyć w jakimkolwiek *innym* elemencie osobowej relacji z Bogiem *bez jednoczesnego przekonania, że Bóg istnieje*. Pokazuje to już sam namysł nad *znaczeniem* osobowej relacji z Bogiem. Ponieważ przekonanie jest niedobrowolne, bez wystarczającego materiału dowodowego na rzecz wiary w istnienie Boga, osoby niestawiające oporu nie są w stanie wejść w osobową relację z Bogiem. A skoro tak, to relacja z Bogiem nie została im udostępniona w powyższym sensie. Wynika z tego, że jeśli osoby niestawiające oporu mają uzyskać dostęp do relacji z Bogiem, muszą wejść w posiadanie wystarczającego materiału dowodowego na rzecz wiary w Boga. Zauważmy, że ten materiał nie musi być jak grom z jasnego nieba, cud czy też zniewalający dowód teoretyczny. Wystarczy mniej spektakularny materiał dowodowy w postaci doświadczenia religijnego, który może być nawet odpowiedniejszy do nawiązania relacji z Bogiem. *Jakiś* materiał musi jednak być dostępny osobom niestawiającym oporu, jeśli mają mieć sposobność odpowiedzi Bogu z miłością.

Wzięte łącznie, te dwie poczynione przez nas uwagi implikują, że jeśli Bóg istnieje, to materiał dowodowy wystarczający dla wiary w Boga winien być *znacznie powszechniej dostępny, niż jest faktycznie*. A z tego wynika, że Bóg *nie* istnieje. Argument ten, podobnie jak poprzedni, musi oczywiście uporać się z zarzutami. Okazuje się jednak, że różnią się one od poprzednich tylko szczegółami. I podobnie ma się rzecz z odpowiedziami. Zachęcam czytelników do ponownego przemyślenia zarzutów i odpowiedzi, tym razem z myślą o argumencie pojęciowym. Uważam, że przekonają się, iż istnieją sposoby na w pełni zadowalającą obronę tego argumentu. A skoro tak, to mam nie tylko probabilistyczną, ale również pewniejszą podstawę w postaci analizy pojęciowej, by dojść do wniosku, że Bóg nie istnieje.

4. KONSEKWENCJE DLA FILOZOFII RELIGII

Załóżmy, że mam rację i że omówione tu argumenty można wykorzystać do uzasadnienia ateizmu. Jakie wnioski na temat Boga i religii powinny z nich wyciągnąć osoby uznające poprawność tych argumentów? Że ani Bóg, ani religia nie mają znaczenia i że każdy w miarę inteligentny badacz dotrze do punktu, w którym straci zainteresowanie takimi rze-

czami? Że przyroda jest wszystkim, co istnieje, i że powinniśmy ograniczyć nasze intelektualne zainteresowanie do metod i wyników rozmaitych nauk? Bynajmniej. Uważny czytelnik zauważy, że nasze rozważania były ograniczone do epistemicznego statusu *tradycyjnego* teizmu. A każdy, kto uważa, że tradycyjny teizm i naturalistyczny ateizm to jedyne opcje warte namysłu, ma dość blade pojęcie o zakresie, różnorodności i złożoności religii. Istnieją bowiem frapujące możliwości w religii, które filozofowie zachodni dopiero teraz zaczynają odkrywać. Niewykluczone również, że wraz z rozwojem ludzkości – intelektualnym i moralnym, a także społecznym i ekonomicznym – pojawią się jeszcze inne możliwości. Filozofia religii jest potencjalnie znacznie bogatsza i bardziej urozmaicona niż jej stan obecny. Dlatego, kończąc, zasugeruję, że ukrytość tradycyjnego Boga może w ostatecznym rozrachunku doprowadzić do wyraźniejszego ujawnienia *prawdziwego* Boga – ostatecznej rzeczywistości takiej, jaką ona jest.

Przełożył Marcin Iwanicki